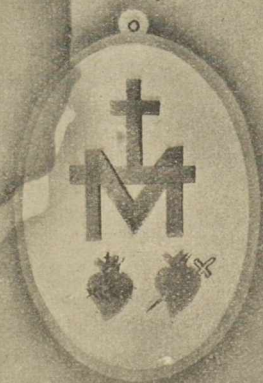


Widowny Medalik



DO WSZYSTKICH CZCICIELI MARII NIEPOKALANEJ!

W bieżącym jubileuszowym roku kanonizacji św. Wincen-
tego a Paulo (17. VI. 1737—1937) zwracamy się z najgorętszą
prośbą do wszystkich Apostołów Marii Niepokalanej i Jej ko-
sztownego daru Cudownego Medalika oraz do Naśladowców
św. Wincen-tego a Paulo z wielką prośbą!

O co prosimy? Otóż w czerwcu zamierzamy rozpocząć
prace około zewnętrznego odnowienia naszego kościoła w Kra-
kowie na Stradomiu. — Jest to kościół xx. misjonarzy pod we-
zwaniem Nawrócenia św. Pawła apostoła. Dom ten Boży wznie-
siony został w pierwszych dziesiątkach XVIII wieku. Jest to
prawdziwy zabytek sztuki, cud architektury niedoścignionego
artysty, dom Boży, gdzie tyle dusz znalazło prawdziwy pokój
Boży! Przy tym kościele wychowują się zastępy nowych misjo-
narzy, którzy następnie idą w daleki świat do pracy i głoszą
prawdy wieczne rodakom na obczyźnie i niewiernym w Chinach
oraz wyjeżdżają na misje i rekolekcje w całej Polsce.

Świątynię naszą pragniemy odnowić koniecznie w tym
roku! Prace te jednak wymagają wielkiego nakładu grosza,
którego niestety nie mamy. Dlatego zwracamy się z najgorętszą
prośbą do wszystkich Czciocieli Marii Niepokalanej, aby wszyscy
bez wyjątku łaskawie przyszli nam z pomocą w tych tak bar-
dzo ciężkich czasach. O ofiary prosimy na cel odnowienia na-
szego kościoła! Niech więc każdy, co otrzyma Rocznik Mariań-
ski i przeczyta te słowa, życzliwie odpowie na naszą prośbę
i jak najspieszniej wyśle swoją ofiarę. Imię każde zapisane
będzie w osobnej księdze, w której przyszłe wieki będą się
tylko budowały!

Pytanie, ile złożyć? Otóż bezsprzecznie jak najwięcej! Kto
może dać 100 złotych albo więcej, a nie czyni to uszczerbku
dla niego, niech nam da całą sumę. — Kto mniej, także nie-
chaj nie czeka! I jeden złoty z wdzięcznością przyjmiemy! —
Prosić będziemy Boskiego Zbawiciela, aby w myśl Swojej obiet-
nicy wszystkim Łaskawym Ofiarodawcom hojnie wynagrodzić
raczył każdy grosz, złożony na Jego przybytek św.

Wszyscy, którzy śpiesznie złożą uproszoną ofiarę, otrzy-
mają jako pamiątkę nową broszurę:

CHRYSTUS Z NAMI O NAJŚWIĘTSZYM SERCU PANA JEZUSA

jeszcze w czerwcu.

Raz jeszcze bardzo prosimy o łaskawą pomoc i serdecznie
dziękujemy za każdy objaw życzliwości. — Bóg zapłać za każdą
pomoc!

XX. MISJONARZE

ROCZNIK MARIAŃSKI



CENTRALNY KRAJOWY ORGAN KRUCJATY CUD. MEDALIKA
STOW. CUDOWNEGO MEDALIKA I DZIECI MARII W POLSCE

Rok XIII

Redaktor X. Pius Pawellek, Misjonarz

Czerwiec 1937

Dwusetna rocznica kanonizacji św. Wincentego a Paulo

Dnia 16 czerwca 1737 r. przystąpił papież Klemens XIII do uroczystej kanonizacji św. Wincentego à Paulo w bazylice św. Jana na Lateranie.

W świątyni wspaniale ozdobionej ukazał się Ojciec św. w otoczeniu 27 kardynałów, bardzo wielkiej liczbie patriarchów, arcybiskupów, biskupów, prałatów, przedstawicieli różnych zakonów, w których różnaitość i różnolitość jest tak wielką ozdobą Kościoła św.

Następca św. Piotra złożył hołd świętości Slugi Bożego i przyznał mu honory, jakie przysługują świętym.

Ta niezapomniana uroczystość miała nazajutrz bardzo piękny przebieg, poczynając od Rzymu. Po całym świecie gloszono świętość życia i niewyczerpaną siłę i potęgę miłosierdzia pokornego Wincentego à Paulo.

Z okazji uroczystej kanonizacji odprawiono też w kościele św. Łazarza w Paryżu uroczystą oktawę od 15 do 22 października 1937 r. Wybitni mówcy, którzy każdego dnia głosili wielkość nowego Świętego, sławili kolejno jego niezmordowane miłosierdzie, jego cudowną pokorę, głęboką wiarę i przepiękną godność i powagę życia kapłańskiego.

W Krakowie obchód uroczystej kanonizacji był bardzo uroczysty. Odbywał się w nowo wybudowanym kościele na Stradomiu i trwał przez 8 dni. Jak się mogła odbyć cała uroczystość, choć słaby obraz mamy w opisie poświęconym beatyfikacji św. Wincentego à Paulo p. t. „Beatyfikacja św. Wincentego à Paulo i uroczystości beatyfikacyjne w Warszawie, Krakowie i Chelmnie“ (1930).

Rok 1937 przynosi z sobą drugi z rzędu setny jubileusz kanonizacji wielkiego Świętego wielkiego wieku. Aby przypomnieć tę sławną rocznicę, Jego Eminencja X. Kardynał Verdier, arcybiskup paryski, postanowił w porozumieniu z Najczcigodniejszym X. Generałem Suvay odprawić uroczyste triduum w dniach 18, 19 i 20 czerwca 1937 r. W dwóch pierwszych dniach nabożeństwo odbywać się będzie w kaplicy XX. Misjonarzy w Paryżu, przy ul. de Sevres 95, gdzie znajdują się drogie szczątki, relikwie wielkiego Świętego odnowiciela życia kościelnego, reformatora stanu kapłańskiego, obrońcy wiary św. i przyjaciela ubogich. W dniu 20 czerwca uroczystość odbywać się będzie w obszernych murach świątyni Notre Dame, czyli w katedrze paryskiej.

Wszyscy pragną skorzystać z tej okoliczności i wielkiemu św. Wincentemu à Paulo złożyć hołd przez wierne i dziecięce nabożeństwo. Jedni przypominają sobie z dumą, jak wielki ogień miłości bliźniego wypłynął ze serca Wincentego à Paulo. Inni u jego świętych prochów pragną zaczerpnąć tego ducha poświęcenia, który sam jeden zdolny jest uświęcić i podźwignąć świat i uratować go od nędzy i biedy.

Spodziewamy się, że uroczystości jubileuszowe po całym świecie wyjedną nam u św. Wincentego à Paulo jeszcze większe poświęcenie w niesieniu pomocy duchowej i cielesnej wszystkim, którzy jej potrzebują.

W Krakowie na Stradomiu uroczystości jubileuszowe odbędą się w jesieni w dniach 26, 27 i 28 września. Z okazji dwusetnej rocznicy ukazała się bardzo udatna broszura zawierająca w krótkości żywot św. Wincentego à Paulo. Nadaje się ona bardzo do obudzenia u szerokich mas społeczeństwa zainteresowania działalnością i wydatnym poświęceniem apostoła miłosierdzia.

Pamiętajmy czym prędzej uiścić prenumeratę za Rocznik Mariański! Czyn to szlachetny i bardzo zasługujący, przytem tak wydatnie świadczący o miłości naszej ku Marii! Tak gorąco prosimy o potrzebną pomoc!

Źródło pociechy

Działo się to przed laty we Francji. Gościńcem wiodącym do słynnej z objawień Serca Jezusowego miejscowości Paray-le-Monial, spieszył młody czeladnik.

Twarz jego blada i smutna, obuwie pyłem pokryte, odzienie ubogie — widać biedny, bardzo biedny chłopiec.

Słońce przypieka, aż pot kroplisty pokrył jego czoło, wznoszą się za każdym krokiem chmury pyłu, dławią w gardle — a on idzie i idzie bez przerwy, bez wypoczynku, a skoro wspaniałe wieżycy świątyni Bożego Serca ukazały się oczom jego, przyspiesza jeszcze kroku.

Doszedł wreszcie i spiesźnie wbiega na schody kościoła Serca Jezusowego. Klęka przed ołtarzem, zrzuca z pleców zakurzony tłomoczek, oczy i ręce wznosi ku cudnej, marmurowej figurze Zbawcy, wskazującego lewą ręką na Serce swoje, jakby chciał ludziom przypomnieć, gdzie źródło Jego nieskończonej dobroci i miłosierdzia.

Wędrowiec nasz zrozumiał: z piersi wyrrywają się ciężkie westchnienia, a w końcu lży bólu strumieniem puściły się z oczu. Zanosi się od płaczu, a wśród szlochania jedno tylko słychać słowo: „Matka, matka!”

Ktoś poruszył się za filarem. W grubą żalobę przybrana pani, która nie widziana przez wchodzącego chłopca tam się modliła, opuściła swoje miejsce i podeszła cichutko do strapionego czeladnika. W oczach jej widniała litość; lekko położyła dłoń na ramieniu płaczącego. Wzdrygnął się, jakby z ciężkiego snu przebudzony.

— Proszę wyjść ze mną — szepnęła.

Chłopiec powstał zdumiony, raz jeszcze błagalnie spojrzał na figurę i poszedł za nieznajomą.

— Cierpisz bardzo — zaczęła. — Jakieś wielkie zmartwienie ciąży ci na sercu?

— O tak, proszę pani. Jestem bezgranicznie nieszczęśliwy. Rozpacz mnie już ogarnia!...

Przerwał, ukrył twarz w dłonie i znów szlochać począł.

— Ależ uspokój się, dziecko — prosiła serdecznie. — A czy nie mógłbyś zwierzyć mi się ze swego smutku? Tak gorąco Serce Boże o ratunek prosiłeś, a może właśnie mnie wybrał Pan za narzędzie, aby ci dopomóc!

Chłopiec opuścił ręce, duże, zdumione nieco oczy patrzyły szczerze i otwarcie na pytającą.

— Ach, dobra pani! jakże wdzięcznym jestem za serdeczne słowa. Tyle już osób o pomoc w potrzebie mojej prosiłem, a wszyscy obojętnie odwracali się ode mnie. Bo któż też może zaufać wędrownemu czeladnikowi. Tym więcej wzrusza mnie dobroć pani, więc szczerze wszystko opowiem.

— Proszę, proszę, mój chłopcze. Zaufaj mi tylko, zobaczysz, że się nie zawiedziesz.

— Jestem synem ubogiej wdowy z północnej Francji. Z wiosną tego roku wybrałem się do południowych miast naszego kraju, aby się lepiej wyuczyć mojego rzemiosła — jestem artystycznym ślusarzem. Matka moja, która wówczas cieszyła się dobrym zdrowiem, pochwalała mój zamiar. Początkowo powodziło mi się dobrze; znalazłem doskonałego majstra i zarabiałem dostatecznie na moje utrzymanie. Ale później, właśnie w pobliżu Paray-le-Monial, spotkały mnie dwa wielkie strapienia: długi czas nie mogłem znaleźć roboty, a równocześnie otrzymałem wiadomość, że matuchna moja zachorowała ciężko i w gorączce ciągle mnie woła. Chodziłem jak odurzony i starałem się wszelkimi sposobami zdobyć pieniądze na drogę do rodzinnego miasta, aby ujrzeć jeszcze przed śmiercią ukochaną matkę. Wszystko daremnie! Nikt nie chce się zlitować nade mną, a wybrać się w tak daleką drogę pieszko, byłoby szaleństwem. Nie mogę pospieszyć do umierającej matki i serce pęka mi z bólu. Przyszedłem więc u Boskiego Serca zebrać litości!

— Wzrusza mnie twoje opowiadanie — drżącym głosem odparła nieznajoma — tym bardziej, że sama niedawno straciłam najlepszą matkę, która mi była wszystkim na świecie. Wzrusza mnie również wielka ufność twoja w Boskie Serce Jezusa, który tu okazuje się szczególnie łaskawym. Ile potrzebujesz pieniędzy na jazdę do domu?

— Pani byłaby tak łaskawa — półprzysłowny z radości wyjął młodzienc — pożyczyć mi tych pieniędzy?

— Pożyczyć nie, ale podarować. Na wykonanie tak zbożnego zamiaru mogę ofiarować tę niewielką sumę.

— O zacna, zacna pani, do śmierci wdzięcznym ci będę!

Uszczęśliwiony chłopiec chwycił dłoń swej dobrodziejki, by ją ucałować. Cofnęła się z uśmiechem i wyjęła sakiewkę.

— A więc ile kosztuje bilet pospiesznego pociągu do twojej matki — zapytała ponownie.

Młodzienc wymienił kwotę, a nieznajoma bez wahania wyjęła z sakiewki pięćdziesiąt franków i podała mu je, mówiąc prawie wesoło:

— Reszta przyda ci się na posiłek w drodze.

Chłopiec oniemiał z radości, nie mógł znaleźć słów podzięk. Stał chwilę, jak skamieniały, potem wbiegł znów do kościoła, by Bożemu Sercu za tak nadspodziewaną pomoc podziękować i prosić Je o błogosławieństwo dla hojnej dobrodziejki.

Nieznajoma, i tym razem przez chłopca niewidziana, wróciła także na swoje miejsce za filarem.

Nie widziała nawet, że czyn jej zauważył ktoś trzeci. Właśnie w chwili, kiedy dawała chłopcu pieniądze, kościelny stanął przy oknie swojego mieszkania, z którego widać było cały dziedziniec.

Przeraził się. Nędzny wygląd chłopca, bogaty ubiór nieznajomej i niezwykle wielki jej dar — widział wyraźnie w jej ręce pięćdziesięciofrankowy papierek — nasunęły mu podejrzenie, że włóczęga jakiś wyłudził, może groźbą wymusił ten datek od zacnej czcicielki Bożego Serca.

Z powodu wielkiego napływu wszelkiej biedoty do świętego miejsca, zebranie było surowo wzbronione. Zakaz ten ogłaszały plakaty, umieszczone przy wejściu do kościoła. Zdawało się więc kościelnemu, że spełni tylko swój obowiązek, zawiadamiając władze o tym, co widział. Uwięzienie chłopca będzie odstrasżającym przykładem dla innych włóczęgów.

Jak pomyślał, tak uczynił. W chwili kiedy chłopiec wychodził z kościoła, by udać się na dworzec, zatrzymał go policjant „za niedozwoloną zebranię“.

Daremnie zapewniał o swej niewinności, daremnie szczerze opowiadał o swoim zmartwieniu i całkiem przypadkowym spotkaniu się z bogatą panią.

Policjant śmiał się z niego i drwił bez miłosierdzia:

— Dość już tej gadaniny! Dalekobym zaszedł, gdybym chciał wierzyć każdemu włóczędze, który mi opowie zmyśloną, tkliwą historyjkę!

— Ależ ja mogę przedłożyć papiery — bronił się młodzieniec. — Zobacz pan, że wszystko w porządku i...

— Milcz — przerwał gniewnie policjant — i chodź na posterunek! Tam powiedzą ci resztę.

Oczy młodzieńca znów napęłniły się łzami. Tak bliskim był spełnienia najgorętszego swego pragnienia — a teraz wloką go na policję i tam zatrzymają go może dłużej, może tak długo, że matenka jego umrze tymczasem! O, gdyby dobrodziejka jego jeszcze tu była i niewinność jego potwierdzić mogła! Ale ona już poszła, a gdzie? któż to wie?

Z ciężkim westchnieniem zwrócił się raz jeszcze ku drzwiom

kościola i błagał: „O Boskie Serce Jezusa, ufam Ci! Dopomóż mi, ratuj mnie w tym strasznym ucisku!”

Aż oto — właśnie w chwili, kiedy policjant szorstko uchwycił ramię chłopca, by go z sobą pociągnąć — w drzwiach kościoła ukazała się nieznajoma, która właśnie ukończyła swoje modlitwy. Z okrzykiem radości podbiegł młodzieniec do niej.

— O dobra pani! To pani była dotąd w kościele, nie odeszła pani jeszcze? Co to za szczęście dla mnie! Najśłodsze Serce dzięki Ci! Wszystko się teraz wyjaśni.

Krótko opowiedział co zaszło.

Gdyby Boskie Serce nie było powtórnie zaprowadziło panią do kościoła — zakończył byłbym się znalazł w cięższym jeszcze położeniu, niż to, z jakiego pani mnie wybawiła.

Nieznajoma potwierdziła opowiadanie chłopca i dodała, że wzruszona synowską miłością dla matki i gorącą ufnością w pomoc Boskiego Serca z własnego popędu darowała mu te pięćdziesiąt franków. Wobec tego policjant zgodził się na przejrzenie jego papierów, a ponieważ te poświadczyły, że jest uczciwym, zdolnym i pracowitym rzemieślnikiem, puścił go wolno i odszedł, przepraszając za swoją pomyłkę.

A wędrowiec gorąco podziękował szlachetnej pani raz jeszcze z wdzięcznością spojrzął na kościół i pospieszył na dworzec, by na skrzydłach pary pospieszyć do ojczyzny, do chorej matki.

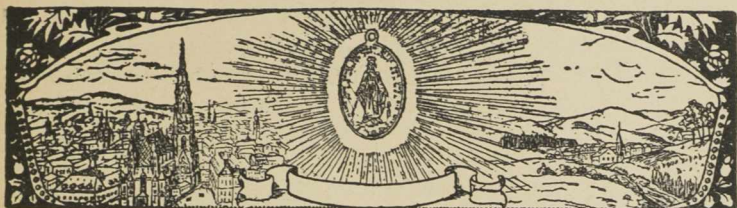
Zaznał tej pociechy, że zastał ją jeszcze przy życiu i otrzymał jej ostatnie błogosławieństwo.



MEDALIK

*Medalik Marii, to klejnot pokoju,
To drogi, bogaty dar nieba,
Wyjęty dla ziemi z przeczystych łask zdroju,
Więc sercem go nosić potrzeba.
Gdy w myślach splątanych zagaśnie baśń złota,
Gdy okręt się dążeń rozbije,
Koroną nadziei na drogach żywota,
Zapłonie Medalik Marii.
Niech w pieśni wieczornej spotkają go oczy,
Niech przyjmą go ludzie strudzeni,
A serca ich z blaskiem radości zjednoczy,
Dar złoty cudownych promieni.*

Wacława Golebiowska.



Symbolizm Cudownego Medalika

KULE ZIEMSKIE, GWIAZDY, WĄŻ.

Musimy powrócić jeszcze raz do symbolizmu Cudownego Medalika, gdyż dużo jeszcze trzeba, by wyczerpać ten temat. Tyle piękna mieści się w tym mariańskim objawieniu!

W pierwszym objawieniu miała Maria duże kule ziemskie: jedną trzymała w rękach, druga znajdowała się pod stopami Jej. Te dwie kule są symbolem świata ziemskiego. Lecz ziemia jest tylko jedna. Jakże może znajdować się równocześnie w rękach Marii i pod Jej stopami? Jest w tym tajemnica. Ziemia jest tu uważana za rodzaj ludzki, który ją zamieszkuje. Otóż jak wiemy, rodzaj ludzki podzielony jest na dwa obozy: królestwo Boże i królestwo zła, — świątynia Boga i świątynia szatana. Te dwa królestwa wyobrażone są przez dwie kule ziemskie.

Dolna kula, którą wąż obejmuje swymi splotami, jest symbolem świata, który znajduje się w mocy szatana, tego świata, który został przeklęty przez Jezusa i za który w przeddzień swej śmierci nie chciał się modlić. Kula górna, mniejsza, nad którą widnieje krzyż i która spoczywa w rękach Marii, jest symbolem dusz wiernych, stanowiących królestwo Boże.

Maria góruje nad królestwem świata i kładzie na nim swe stopy. Oczy Jej chwilami spuszczone ku ziemi, to znowu wzniezione ku niebu, spoglądają na ziemię z litością i miłością, a ku niebu ślą spojżenia błagalne. Tak ofarowując Bogu ten świat, który niesie w swych dłoniach, Maria modli się także jak matka za ten świat drugi, który ma pod stopami. Wie Ona dobrze, że wszyscy ludzie, nawet ci, którzy najwięcej zawinili, są jej dziećmi. Na Kalwarii stała się ich Matką, kocha je, ponieważ za nie wszystkie umarł Syn jej — Jezus. Jako Ucieczka grzesznych nie może ich opuścić, modli się za nich. A modlitwa Jej tak jest potężna, że wkrótce Jej ręce napelniają się łaskami, których symbolem są pierścienie z drogich kamieni pokrywające Jej palce. Ręce napel-

nione łaskami zdają się ugiąć pod ich ciężarem i całe promieniejąc opuszczają się i wyciągają ku światu, który jest pod Jej stopami. Miłosierdzie Boskie przyciągnięte modlitwą Marii, nachyla się nad tą przepaścią nędzy, jaką jest nasza biedna ludzkość.

Na odwrotnej stronie Cudownego Medalika znajduje się korona z dwunastu gwiazd. Co oznacza ta korona? Święty Jan widział w Apokalipsie niewiastę w koronie z dwunastu gwiazd, przyodzianą w słońce, a księżyc pod Jej stopami. Ta niewiasta, to Maria. Dwanaście gwiazd, to dwunastu apostołów. Lecz czyż nie można dojrzeć w nich także symbolu dwunastu przywilejów Marii? Czyż tych dwanaście gwiazd nie przedstawia tyluż szczególnych łask, którymi była ozdobiona?

Łaski te szczególne są:

- 1) Jej Niepokalane Poczęcie.
- 2) Jej tytuł Dziewicy-Matki.
- 3) Pozdrowienie Archaniola Gabriela.
- 4) Zstąpienie na Nią Ducha Świętego.
- 5) Obietnica, że porodzi Mesjasza.
- 6) Jej Boskie macierzyństwo bez skażenia.
- 7) Jej miłość i czystość.
- 8) Jej miłość bliźniego połączona z miłością Boga.
- 9) Jej łagodność i dobroć.
- 10) Jej pobożność pełna pokory.
- 11) Jej wielka wiara.
- 12) Jej bohaterstwo na Kalwarii.

Napisane jest w Księdze Rodzaju: „Wężu, położę nieprzyjaźń pomiędzy tobą a niewiastą, ona zetrze głowę twoją, a ty czyhać będziesz na piętę jej“.

Maria jest tą niewiastą obiecaną w zaraniu istnienia świata, to też wyobrażoną jest na Cudownym Medaliku depczącą długiego węża zielono-żółtawego. Tego węża znamy dobrze, jest to szatan, stary i wieczny wróg dusz ludzkich. Maria przychodzi jak Królowa, by zgnieść go całą mocą jaką otrzymała od Boga.

Tak, wąż ten — to szatan. — Jest to także pokusa, która pelza, wnika wszędzie, czatuje, syczy, oczarowuje, podnosi głowę i zije jadem, — pokusa, która w cieniu zapuszcza żądło i zabija dusze. Walczy więc Maria z szatanem; on daremnie „próbuje zranić piętę Jej“, tego nie dokaże. Ona jest silniejsza od niego. Lecz dzieci Jej nie są silne! One są poczęte w grzechu! Wokoło nich pokusa krąży, w nich niekiedy syczy... Któż nie zna jej ukąszeń? Najwięksi Święci zaznali jej uderki! Choć wierni, jesteśmy tak ułomni; choć miłujący, jesteśmy tak kuszeni!

Nawet św. Paweł, choć był porwany do trzeciego nieba, woła: „Któż mnie uwolni z tego świata śmierci?“ Któż więc może się dziwić, że także podlega tej upokarzającej udręce?

Gdybyśmy byli sami, pozostawieni naszym własnym siłom, już naprzód bylibyśmy pokonani. Lecz Bóg jest z nami. Zresztą to nie nas szatan prześladowe swoją nienawiścią; my jesteśmy za mali, aby w nim obudzić inne uczucie jak pogardę. On prześladowe w nas Boga. Nie mogąc go dosięgnąć bezpośrednio, znęca się nad Jego dziećmi, nad ludźmi przeznaczonymi do zajęcia w niebie miejsc, które przez jego bunt zostały opróżnione. To też Bóg napadnięty przez niego w nas, musi nam dać siłę i łaskę do zwycięstwa. On zawsze w tym będzie wierny.

Prócz łaski swojej, która nam zawsze wystarczy (czyż nie rzekł do św. Pawła: „Łaska moja ci wystarczy“) daje On nam Marię z Jej potęgą, — Marię z Jej Sercem matki, — Marię, na której imię szatan zatrwożony ucieka.

Jacy silni jesteśmy w naszej słabości! Jakże nie przystoi nam skarżyć się na te napady szatana, które zawsze możemy odeprzeć! Bóg zapewnia nas, że nigdy nie będziemy kuszeni ponad nasze siły.

W tych ciężkich walkach mamy pomoc: potęgę Bożą i Marię. Lecz my o tym nie myślimy. Nasza pycha jest urażona: w obliczu pokusy mieszamy się, skarżymy, zniechęcamy i najczęściej zapominamy modlić się i wezwać pomocy Tej, która starła głowę wężowi.

Dwoje dzieci, które słyszały przypowieść o synu marnotrawnym, udzielało sobie swoich wrażeń. „Zrozumiałem dobrze jedną część tej historii“ — mówił młodszy — „mowa tam o ojcu, o dziecku, lecz nie mówią wcale o matce!“ A drugi odpowiedział te słowa tak głębokie, tak prawdziwe, tak wzruszające: „Mamusia? on już nie miał mamusi, bo gdyby ją miał, nie byłby się stał „marnotrawnym!“

Jeżeli niekiedy upadamy, to z pewnością dlatego, że zapomnieliśmy wezwać naszej Matki. Zwyczajcami zawsze będą Dzieci Niewiasty stojącej na wężu zdeptanym.

UZDROWIENIE OPĘTANEGO.

Pewien misjonarz z Makao pisał w dniu 3 sierpnia 1841:

„Jedyny syn pewnej wdowy, wychowany w pogaństwie jak ona, został nagle opętany przez szatana. Rzucił się tak, że wszyscy uciekali przed nim, a on biegał po polach, krzycząc żałośnie.

Pewnego dnia, kiedy młody człowiek bardziej był dręczony niż zwykle, zrządził Bóg w swej dobroci, że przybył do tej miej-

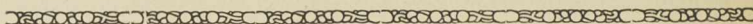
scowości chrześcijanin, który widząc, jak szatan dręczy nieszczęśliwego, kazał wrócić wszystkim, którzy biegli za nim i obiecał sam go zatrzymać, uspokoić i przyprowadzić do matki.

Dobry ten chrześcijanin nosił na szyi Cudowny Medalik Niepokalanej Dziewicy. Wziął go do ręki i zbliżywszy się do opętanego, pokazał mu Medalik rozkazując szatanowi, aby go zostawił w spokoju i wyszedł z niego, co tenże natychmiast uczynił.

Młody człowiek pokornie upadł na twarz przed cudownym wyobrażeniem, nie wiedząc co ono przedstawia. Jednakże chrześcijanin kazał mu wstać i iść za nim, a trzymając ciągle Medalik w ręce, przyprowadził młodego poganina do matki. Gdy ten ujrzał swoją matkę zaczął ją pocieszać, mówiąc: „Matko, nie płacz już, jestem zupełnie uleczony. Szatan opuścił mię natychmiast, gdy ujrzał ten Medalik“.

MODLITWA.

O Mario, Panno czysta i wierna, podziwiamy Cię trzymającą świat w rękach, stojącą na kuli ziemskiej w koronie z gwiazd dwunastu. Z radością widzimy, jak stopą swą ścierasz głowę węża piekielnego. Czujemy dobrze, jak ten odwieczny wróg dusz naszych rozciąga wokół nas sieć pokus. Wtedy to przede wszystkim, o Matko Niepokalana, będziemy Cię wzywali. Dziecko upada wtedy, kiedy wyrwie się z ręki matki. Odtąd, o Mario, jeszcze goręcej cześć będziemy Twoją czystości niepokalaną, a Ty uczynisz nas czystymi przez przykład Twój i macierzyńską Twoją opiekę. Amen.



Do Ciebie Święty Antoni

Do Ciebie święty Antoni

Czciciele idą dziś Tвої,

W słońcu „jagoda się ploni“,

W czar lata ziemia się stroi.

Prośb długich rozpięta ośnowa,

Niech dotknie ją Twoje spojrzenie,

Ostatnie nowenny brzmia słowa,

Ostatnie ją kończy westchnienie...

I nikt się więcej nie trwoży,

Serca jaśnieją w podzięce,

Bo przyjmą wkrótce dar Boży,

Który przyniosą Twe ręce.

Wacława Golebiowska.

Zbłądziłem...

Felieton

Największą przyjemnością po całodzienniej pracy dla p. G. była przechadzka do pobliskiego parku. Miał tam ulubioną ławeczkę, na której w każdy wieczór przesiadywał. Dziś również przybył i to wcześniej, niż zwykle. W biurze porobił konieczne obliczenia, i to z wielkim wysiłkiem. Mylił się co chwila — to znowu szukał błędu i tak bez końca. Wszyscy i wszystko denerwowało go. Pragnął jak najszybciej opuścić tę nieszczęsną „budę”. Nie słyszeć stukotu maszyn i skrzypienia piór.

Siedział już godzinę, a ukojenia i spokoju wewnętrznego, którego tak pragnął — nie znalazł. „Coś się ze mną dzieje” — myśli — ale co?! Westchnął głęboko i rzekł prawie głośno: „Czuję się jakbym co złego popełnił. Czy czeka mnie jakie nieszczęście — a może, szczęście?!!!” Chwilę zastanowił się nad sobą, lecz na-próżno — nie znalazł źródła swego wewnętrznego niepokoju! Sposepniał jeszcze bardziej, opuścił głowę na piersi i po chwili zasnął.

Śni wielkie nieznane mu miasto; po ulicach on się przecha-dza. Od czasu do czasu widzi grupki ludzi zgromadzonych około wylepionego afisza. On jednak idzie dalej — ktoś kogo on nie zna, a nawet nie widzi, nie pozwala mu się zatrzymać i przeczytać owego ogłoszenia. Staje! — zmusza się! — by się zatrzymać — daremnie! O! tu jest mniejsza grupka osób — widzi! widzi! — już wyraźnie ten afisz! — może go nawet odczytać.

Na samej górze plakatu widnieje łaciński napis — „OPOR-TET ILLUM REGNAE“, a niżej: „Potrzeba dla naszego dobra, by Chrystus królował”. Pod napisem widnieje portret męża z dłu-gimi włosami spuszczonymi na ramiona. W lewej ręce trzyma serce, z którego wychodzą płomienie, rozchodzące się we wszyst-kich kierunkach. Prawicą zaś pokazuje wszystkim przypatrującym się to serce tak, jakby mu zależało na tym, by wszyscy na nie zwrócili uwagę. Niżej napis: „Chrystus chce królować przede wszystkim przez Najśw. Serce swoje — w sercu pojedynczego człowieka i we wszelkich społecznościach. Nie zabraniajmy Mu tego! Wiedźmy, że jeśli kiedy, to w czasach obecnych potrzeba nam wszystkim Jego opieki. Serce Jezusa, przepełnione miłością, nikogo nie odrzuci — bo jest cierpliwe i wielkiego miłosierdzia.

W czerwcu we wszystkich świątyniach katolickich będą od-prawiane wieczorem nabożeństwa ku czci Najśw. Serca Jezuso-

wego. Bierzmy w nich czynny udział, gdyż sam Zbawiciel obiecał, że dla czcicieli Jego Boskiego Serca będzie pociechą we wszystkich smutkach i utrapieniach.

...Obudził się. Obraz ten, który widział we śnie, był zupełnie taki sam, jak ten, który chciała mu sprzedać jakaś kobiecina. „Słowo daję — rzekł — ciekawy sen! Co on może znaczyć? Gdyby to wszystko śnił jakiś „pobożny“, tobym się nie dziwił — ale ja?!“

Nagle do uszu jego dochodzi głos dzwonu. „Aha! — to właśnie wzywają na to nabożeństwo, na które mnie we śnie zapraszano. Z takiego zaproszenia należy skorzystać! Ale natychmiast ozwały się w nim szatańskie głosy: „Tchórz, baba, snom będzie posłuszny“. „Byłbym tchórzem, — pomyślał — gdybym się bał wejść do kościoła. Ogarnął go jednak pewien niepokój połączony z radością. Uczucia takiego nigdy w życiu nie doznał. Wie on przecież o tym, że pisma katolickie wiele razy, i to zupełnie wyraźnie, nazwały go bluźniercą za jego artykuły. On jednak z tego nie sobie nie robił — a nawet cieszył się i pisał nadal. „Jakie to będzie wspaniałe — myśli — gdy mnie zobaczą w kościele i wiadomość ta rozejdzie się po miasteczku, a ja za parę dni „kropnę“ im znowu artykułik“.

...Kapłan ubrany w złotą kapę w otoczeniu ministrantów klęczy na stopniach ołtarza. Lud rzewnie śpiewa litanię do Najśw. Serca Pana Jezusa. On stanął w ciemnym miejscu, by mógł wszystko widzieć, a być nie widzianym. Na ołtarzu widzi znowu ten obraz z afisza — taki sam. Przygląda mu się dłuższą chwilę. „Musi być dziełem znaczniejszego malarza, gdyż naprawdę jest piękny...“

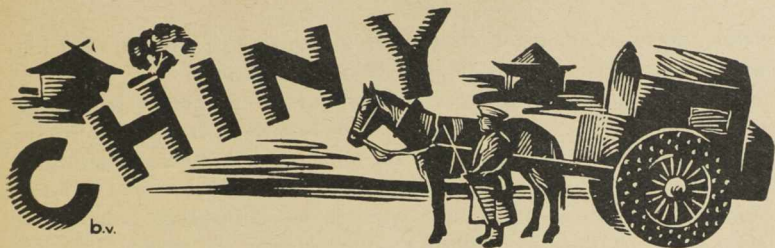
...Przed oczyma duszy stanął mu obraz dzieciństwa... I on niegdyś był ministrantem. Klęczał przy ołtarzu z kapłanem i modlił się za mamusię, która siedziała w ławce obok ambonki. Spojrzał znowu na obraz: Dwie duże łzy płyną mu po policzkach. Serce Jezusa bliskie zwiąśćstwa.

....„Tak straciłem to, co mi moja dobra matka przekazała — WIARĘ. Zbłądziłem — gardząc tyloletnią pracą mej matki nad urobieniem mojej duszy — ZBŁĄDZIŁEM“!...

E. K-p.

Ewangelia w języku chińskim

Mąż stanu w Chinach p. Ma-Giang-Peh ostatnie lata poświęcił tłumaczeniu Ewangelii na język ojczysty. Tłumaczenie uzyskało aprobatę władz kościelnych i już jest w druku.



Z chińskiego podwórka

Zapatrzone w swoją bogatą przeszłość, przeglądające się w zwierciadle swej wykwintnej kultury, skąpane w pięknie przyrody, Chiny dla przybysza są krajem wszelkich atrakcji i osobliwości. Choćby takie domowe życie chińskie. Jakże niewinnie i wprost lirycznie brzmi wobec niekończących się przepisów patriarchalnego kodeksu chińskiego to nasze „czcij ojca twego i matkę swoją!”

Najstarszy w hierarchii rodzinnej t. zw. głowa rodziny (dziadek, ojciec, ew. najstarszy syn po śmierci onych) jest wszystkim dla wszystkich. Władzą ustawodawczą, sądową i wykonawczą. Reszta we wszystkich zagadnieniach rodzinnych tak powinna czynić, jak owa władza rozkaże. Przy tym kobieta wcale nie wchodzi w rachubę. Jest bowiem zwykłym robotem, niekiedy niewolnicą, towarem na zbyt, lub też kosztownym meblem w domu bogacza. Przede wszystkim dostarczycielką męskich potomków. Złą bowiem żoną jest ta, która rodzi płeć żeńską. Mężczyzna za to jest tym „nieśmiertelnym“, który, choć musi słuchać swego ojca, sam zresztą będąc niekiedy ojcem liczego potomstwa, wypełnia jednak swój zaszczytny obowiązek. Zabezpiecza bowiem ciągłość rodu, a sobie zapewnia wieczny pokój po śmierci.

Dziecko chińskie, karmione w szkole wzniosłymi opowiadaniami o heroicznym nieraz posłuszeństwie i miłości względem rodziców, w rodzaju takich aforyzmów jak „najszcześniejsza jest śmierć syna, co życie ojca ratował“, słucha nie tylko rozkazu ojca, jak najwyższych praw, lecz i doskonali się coraz bardziej w posłuszeństwie. To bowiem, co robić mu każą, to jeszcze nie. Ma tak się wydoskonalić, aby cały sposób swego myślenia i postępowania kierować zawsze i tylko służbie głowy rodziny i pnia rodzinnego. Syn nie wypełniający swych obowiązków jest wyrodkiem, okazywał potwora moralnego, godnego najgorszych mąk. „Każdy zbro-

dzień zaczyna od tego, że jest złym synem“, powiada chińskie przysłowie, oczywiście w pojęciu także chińskim.

Niech nas to nie dziwi. Chiny, które przed 25 laty były cesarstwem, teraz republiką, nie pokrywają się z naszym pojęciem narodu czy państwa. Jest to raczej olbrzymie skupisko rodzin. Od tronu wczorajszych cesarzy, a dzisiejszych pałaców republikańskich, aż po chłopską lepiankę wije się nić chińskiego pokrewieństwa, gdzie najniższą jednostką społeczną to nie osoba, lecz rodzina. Nam, którzyśmy już dawno wyrosli z pieluch najpierwotniejszego ustroju, jakim jest ustrój patriarchalny, wydawać się może, że życie „Synów Nieba“ jest nie do zniesienia. Rzeczywiście przedstawia się ono takim. Zamknięte w ramach rygorystycznego patriarchatu, w żaden sposób nie pozwala na nowinki, które chwytają najmłodsza latorośl z Zachodu. Błogosławione jest jednak ono. Dopóki więź rodzinna, mająca wyraz w tradycyjnym kulcie przodków, jest nie do stargania; dopóki przednią cnotą obywatelską jest miłość synowska, często przechodząca w tragizm dla jednej lub drugiej strony, dopóty Chiny zostaną Chinami. To, co się dzisiaj dzieje w republice chińskiej, na oko się modernizującej według modeli New-Yorku czy Londynu, dotyczy to tylko bardzo cienkiej warstwy ludności. Nie przekraczającej nawet liczby 20 milionów. A gdzie reszta z owych 480 milionów? Masa ta, jak jezioro głębokie, na mile długie i szerokie, jest nieczuła na owe podmuchy jakiejś tam europeizacji, zdolnej tylko zmarszczyć powierzchnię przybrzeżną. Zasluchana w przeszłości, śni dalej swój wielki sen chiński i żyje w ten sam sposób, jak jej dziady i pradiady. Mniejsza z tym, że tam gdzieś samoloty warczą, że kilka tysięcy dziewcząt chłopczycami się stało i papla jakieś modne hasła lub śpiewa tanga. Lud pozostał niewzruszony, mądry swą mądrością dawnych Chin.

Nie w tym dziwnego. Ten ustrój patriarchalny, to jądro narodu chińskiego. Omaszczony solidnie aforyzmami klasyków chińskich, głoszących, że „nie trzeba ani tytułów, ani dóbr, ani rangi, ani talentów tylko czulego serca dla dopełnienia obowiązków dzieci ku rodzicom“, a w sposób mistrzowski zakonserwowany w sosie konfucjonizmu, wynoszącego pietyzm względem rodziców do świętości, skutecznie przeciwstawia się obecnemu chaosowi chińskiemu. Instytucja bowiem rodzinna starych Chin dzięki wewnętrznej odporności poszczególnych ognisk domowych, mimo bałaganu, jaki się tam panoszy, pozostała prawie nietknięta.

I po dziś dzień Chińczątka małe na ławach szkolnych czytają tę rozrzewniającą legendę o synu, który tak ukochał swą matkę, iż ciepło bijące z jego kochającego serca rozgrzało zlodowaciałą

skorupę ziemską, że poczęły z niej przebijać młode pędy bambusowe po to tylko, aby on mógł nimi nakarmić swą matkę. Czytają i uczą się tej prawdziwie chińskiej miłości i ofiarności synowskiej, nam zaś mówią, że warto naśladować godne wzory, zwłaszcza że życie nasze, mimo tej rozreklamowanej kultury, okropnie schamiałło, zwłaszcza na polu rodzinnym.

el-sław.



Dziewczynka w korycie rzeki

Leży w suchym korycie rzeki, na piasku, pod garnkiem dość dużym, kamiennym, czarnym.

— Co takiego?

Leży dzieciątko. Rysy twarzyczki regularne, główka wielkości pomarańczy, pokryta czarnym gęstym włosem. Ramiączka drobne, nóżki skulone w kablak, a prawa rączka zaciśnięta w piastkę.

Przyszło na świat może wczoraj. Ale, że to dziewczynka, przeto niedobrzy rodzice zgasili w niej życie. Sina jakby uduszona. Gdyby to był chłopczyk, byłby żył, bo chłopiec, jak mówią Chińczycy, przynosi rodzicom szczęście w dom. Ale dziewczynka?

Trzeba ją długo żywić i chować, aby po 15 czy 16 latach sprzedać za sto lub dwieście złotych. A, że ta zapłata nie dorównuje wszystkim wydatkom na jej wyżywienie i przyodziewanie przez lat kilkanaście, przeto z wydania córki za mąż kiepski interes.

Ale narzeczony chętnie ją kupi za sto chińskich dolarów, poślubi, wprowadzi do swej zagrody, aby mu tam strawę gotowała i pomagała w polu pracować — niby ten muł albo osiołek, którego się również kupuje za sto chińskich dolarów. Interes dość dobry, chyba, że młoda małżonka wnet zemrze. Wtedy młody wdowiec nie może przeboleć tych stu dolarów, które teściowi zapłacił.

Narodziny dziewczynki uważa się więc za nieszczyście. Gdy maleństwo na świat przyjdzie, wtedy ktoś owija noworodka w mody gałganek, wynosi z domu wieczorem lub w nocy na pole w rów albo nad brzeg strumyka i zostawia je psom na pożarcie.

Taki smutny los spotkał i tę dziewczynkę, którą znaleźliśmy na piaszczystym dnie rzeki w Szachopejdżan, jakie półtora kilometra za kościołem.

Byłem tam z ks. Kotlińskim i ks. Skowyrą. Nie można jej było pochować, bo jeszczeby nas źli ludzie w jaki proces zawikłali. Z konieczności zostawiliśmy ją na tym samym miejscu. Ledwośmy uszli z jakie sto metrów i obejrzeni się wstecz, spostrzeżliśmy czarnego kundla, jak obwąchiwał garnek wokoło, jak nim poruszał, ale do chrupania członczków jeszcze się nie zabrał. Niebawem poszedł sobie do wsi, widocznie po to, aby za chwilę powrócić ze swymi sąsiadami i zasiać do psiej uczy.

Czy ta zaciśnięta piąsteczka nie Wam nie mówi?

Gdy tam stałem i wpatrywałem się w tę smutną, zaskrzepłą twarzyczkę, zdawało mi się, że duszyczka tego dzieciątka jest tuż przy mnie, że łka i woła cieniutkim głosem:

— Czemu tak prędko zamknęto mi powieki? — Czemu mnie mamusia nie zostawiła przy piersiach swoich? — Dlaczego mnie tatuś kazał rzucić psom na pożarcie? — Ja chciałam żyć. Byłabym później chodziła do szkoły, a w tym kościele otrzymałabym chrzest i kiedyś zamknawszy oczy — zobaczyłabym Boga. — Ach, jaką krzywdę wyrządziliście mi, ojcze i matko, rodzice niedobrzy!

I znowu popatrzałem na prawą rączkę dzieciny, na tę piąsteczkę, jakby w rozpacz zaciśniętą...

Takie żyjące jeszcze maleństwa zbieramy przez naszych dobrych i miłosiernych chrześcijan, zbieramy w górach, na polu, w wąwozach, na brzegu strumienia — i gromadzimy je w Centralnym Żłóbku u polskich Szarytek w Szunteh, gdzie otrzymują chrzest, a potem wychowują się albo u płatnych karmicielek albo w sierocińcu. Właściwego sierocińca jeszcze nie mamy. Jest tylko kilka lepierek na Sikle (przedmieście Szunteh) gdzie liczba sierot z dnia na dzień rośnie. Niedawno było tam dzieci 20, a obecnie jest już przeszło 50. A wszystkim trzeba dać jaglanej zupy i sukienkę, nadto trzeba jakiś zakład postawić, aby Polska Misja w Chinach mogła sumiennie spełnić swój obowiązek, aby Polsce dobrego imienia a Kościołowi członków przymnożyła.

Toteż Polska Misja prosi uprzejmie o skromne ofiary „na sierociniec w Szunteh“.

Zamiast zaciskać piąsteczki, sierotki nasze codziennie podnosić będą złożone rączeta do wdzięcznej modlitwy, aby polskim Ofiarodawcom wypraszać u Boga dobrobyt doczesny, a w wieczności oglądanie Boga.

Ks. W. Jęczmionka, misjonarz.

Shunteh (Hopeh) Chiny.



A tak pragnął widzieć misjonarza!

Czunfu, dosłownie ostatnie namaszczenie, a w rzeczywistości „do chorego“, to słowo, które elektryzuje każdego misjonarza, tak ze względu na ważność, jak i trudy z nim połączone.

Jestem na południu powiatu Jalszaę. Już po obiedzie, godzina 4-ta. Kończę swój brewiarz, wtem podchodzi „sjaszen“, dosłownie pan — pomocnik misjonarza i: „szemfu czunfu“ — ojciec duchowny, do chorego! Ciężko chory? pytam, — nie wiem. Kto przyszedł? — z Tongho chrześcijanin. Zawołaj go! Przychodzą. Witam: „bię czunla muju“? — czy chòroba ciężka? — o tak! jeść nie może! Może przyjąć Komunię św.? — nie wiem. A czy przytomny aby? — czasem nieprzytomny. Szykuj rowery! zwracam się do mojego „sjaszena“, a do chrześcijanina z Tongho: Tongho stąd ile li? — 40! Dobra droga? — O tak, przejść można. Dobrze, ale można przejechać rowerem? — Są piaski. To gorzej!

Wieje potężny wiatr. Wszystko zasypane kurzem, aż z Mongolii dalekiej, a i miejscowym „ta gła fon“ — wieje wielki wiatr. W małym podwórku chińskim nie można się zorientować w kierunku wiatru, pocieszam się, że będzie „z wiatrem“ i zdążymy zaopatrzyć chorego.

Rowery gotowe, wyprowadzają je na ulice. Porywa nas podmuch wiatru, szarpie ubraniem. Jedziemy. Wyjeżdżamy poza wieś, na razie w kierunku północno-wschodnim, z trudem posuwamy się naprzód. Droga zmienia kierunek i biegnie prosto na północ. Zaczynają się piaski. Wiatr o sile huraganu przykuwa nas na miejscu. Z całej siły naciskam pedały, a rower stoi na miejscu. Daję za wygraną i schodzimy z rowerów. Idziemy pieszo, popychając odporne „thielu“ żelazne osły, — jak tutaj wieśniacy nazywają rowery. Spoglądam na towarzyszącego mi sjaszena, który wydaje mi się jeszcze bardziej żółty, nawet jego czarna suknia i spodnie zmieniły kolor, pod grubą warstwą kurzu.

Staramy się iść i pchać rowery jak najszybciej.

Jesteśmy w połowie drogi i pocieszam się nadzieją, że jeszcze zdążę.

Z poza mgły kurzowej wyłania się opylona postać z ręcznikiem na głowie, — to syn katechisty z Tongho.

„Szenfu ssyla!“ — księżę już umarł — „hujtsiu ba!“ — wracać!

Przed sobą mam jeszcze 20 li, ale prę naprzód — dam jeszcze absolicję.

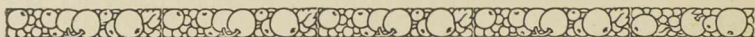
Dochodzimy do wioski, do domu chorego. Słysząc płacz. Tak to już koniec! Wchodzimy do pokoju, zmarły już w trumnie, którą już dawniej, zwyczajem chińskim przygotował. Pytam się, jak dawno umarł: „tak coś ze dwie godziny, a tak pragnął widzieć księdza i obracał się i wołał: „szenfu, szenfu“! — księdza, księdza!

Mimo woli oczy mi się szklą i widzę trumnę niewyraźnie, z poza łez. Polecam go miłosierdziu Bożemu i mimo wszystko daję warunkową absolicję.

Oj! gdybym miał motocykl! Te 40 li — 26 kilometrów, mimo wiatru i piasków przebyłbym w niecałą godzinę, a tak 4 przeszło godziny zmarnowałem, a tam walka o życie lub śmierć wieczną, a tam człowiek, który wołał i żebrał pomocy, a ja dać mu jej nie mogłem.

Do was to Czeigodni i Drodzy Czytelnicy się zwracam — ratujcie te tak narażone dusze, które skutkiem braku środków lokomocji napróżno oczekują ostatniej pomocy. A takich wiele! W jednym tylko roku pracy misyjnej miałem dziewięć podobnych wypadków, gdzie nie zdążyłem przybyć na czas. Może się znajdują szlachetni ofiarodawcy i pomogą mi kupić motocykl. Każdy datek przyjmę z radością.

Ks. B. Górski, C. M.
misjonarz w Chinach.



Polski apostoł-lekarz w Chinach

POLSCY MISJONARZE W CHINACH

Wśród liczego duchowieństwa misyjnego, należącego do różnych Zgromadzeń zakonnych, a pracującego na niwie Szanghajskiej, niestety nie ma żadnego Polaka. Nie ma tu nawet polskiego duszpasterza dla dość poważnej, tu istniejącej polskiej kolonii. Wśród jeszcze liczniejszego zastępu Sióstr spotkaliśmy tylko dwie Polki we wspaniałym zakładzie wychowawczym *Sacre Coeur*, obie pochodzące z Poznańskiego, i 2 Siostry Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo z Warszawy w klinice uniwersytetu *Aurora*. Nie mogła się więc dotąd w Szanghaju zaznaczyć działalność polskiego misjonarza. Mimo to polski misjonarz zdobył sobie dziś wielki i chlubny rozgłos w Szanghaju, jak w ogóle, można śmiało powiedzieć, w całych Chinach. Stało się to dzięki nadzwyczajnej działalności polskich Księżów Misjonarzy św. Wincentego a Paulo, a szczególnie jednego z nich, ks. dr. Wacława Szuniewiczza, w okręgu misyjnym *Shuntchfu* w Północnych Chinach.

Shuntehfu leży, niestety, zbyt daleko od Szanghaju, by nasi dzielni rodacy-misjonarze mogli byli stamtąd przyjechać do nas, albo my do nich, aby się rozmówić o warunkach i skutkach ich dziś już głośniejszej działalności na polu misyjnym.

Dzięki uprzejmości naszego poselstwa w Szanghaju, utrzymującego z nimi ścisły i najserdeczniejszy kontakt, otrzymaliśmy jednak tyle informacji o ich pracy, że mogliśmy sobie o niej wyrobić dość dokładny obraz. A informacje te zawierają tak chwalebne wiadomości dla polskiego imienia i dla polskiego katolicyzmu, że warto o tej sprawie szerzej się rozpisać i zaznajomić z nią nasze polskie społeczeństwo w kraju.

Polacy zawsze brali wybitny udział w wszechświatowej pracy misyjnej Kościoła świętego. Zgodnie bowiem z kierunkiem dziejów naszych, które nas wysunęły na krańce świata katolickiego w narodzie naszym wyrobiło się silne nastawienie misyjne. Prawie każdy z nas, o ile miał dobre katolickie wychowanie, marzył w młodych latach o pracy na misjach jako o ideale życia swego. To marzenie w licznych duszach naszej młodzieży stało się rzeczywistym powołaniem, któremu też z gorliwością się oddali. Stąd Polaków znajdujemy we wszystkich zgromadzeniach misyjnych; znajdujemy ich rozprószonych na licznych posterunkach misyjnych na szerokim świecie. Mało się jednak o nich mówi, bo zaginęli pod obcą flagą, pod którą w czasach niewoli musieli się chronić, by móc iść za swoim powołaniem. Pod polską flagą nasze aspiracje misyjne mogły się rozwinąć dopiero z chwilą, gdy polska flaga mogła swobodnie powiewać na świecie, gdy naród polski mógł się zgłosić jako niepodległy do samodzielnego udziału w pracy nad powszechnym dobrem całej ludzkości. Mamy więc obecnie już własne polskie okręgi misyjne, przydzielone naszym polskim misjonarzom przez Stolicę Apostolską.

Takim okręgiem misyjnym jest Prefektura Apostolska Shuntehfu w Północnych Chinach, powierzona Zgromadzeniu Księża Misjonarzy św. Wincentego a Paulo z Krakowa. Olbrzymi to okręg, bo obejmuje 12.000 km. kw. a ludności 1.100.000, wśród której obecnie jest zaledwie 17.000 katolików. Czcigodni Księża Misjonarze objęli go dopiero w roku 1931, ale w tym krótkim, bo zaledwie 5-letnim, okresie czasu tak błogą rozwinęli działalność, tak Chrystus Pan błogosławił ich pracy — że dziś Polska Misja w Shuntehfu należy, do wzorowych, że rozgłos jej działalności rozszedł się po całych Chinach. Założyli 88 szkół, z tych 19 powszechnych, a 69 parafialnych; do szkół tych dziś uczęszcza razem 1.700 dzieci. Założyli 144 Katechumenaty, w których blisko 3000 Chińczyków przygotowuje się do Chrztu świętego. Założyli szkołę w Kiulu

w celu przygotowywania Chińczyków-katolików do pracy misyjnej jako katechistów. Obecnie już 123 katechistów i katechistek wspólnie z misjonarzami pracuje nad rozszerzeniem wiary. Do tego doliczyć trzeba 44 nauczycieli i nauczycielek (Chińczycy również), pomagających Księżom Misjonarzom w pracy kulturalno-oświatowej. Jest to dorobek na prawdę wielki; świadczy o niezmordowanej pracy, o bezgranicznym poświęceniu naszych dzielnych misjonarzy i o błogosławieństwie, którym dobry Bóg ich obdarza. A jest ich niewielu, bo cały wielki okręg misyjny liczy w obecnej chwili tylko 15 polskich, a 5 chińskich, księży, 2 braci Polaków i 12 Sióstr Miłosierdzia, z czego 8 Polek, a 4 Chinki. Na czele Misji jako Prefekt Apostolski stoi dzielny, energiczny, choć szczupły wzrostem, ks. Ignacy Krause, mimo niemieckiego nazwiska, dobry Polak.

ROZGŁOS NAUKOWY KS. DR. SZUNIEWICZA I JEGO SZPITALA

Największy rozgłos jednak Polska Misja w Shuntehfu zdobyła przez swoją działalność na polu charytatywno-lekarskim. A działalność tę mogła rozwinąć dzięki temu, że wśród Księży Misjonarzy znalazł się człowiek o wprost opatrnościowym powołaniu. Jest nim ks. dr. Wacław Szuniewicz. Był już doktorem medycyny, docentem uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, specjalistą w chorobach oczu, gdy idąc za głosem Bożym, wstąpił do Zgromadzenia i został kapłanem. Widocznie Opatrzność Boża zaprowadziła go do Chin, bo tu znalazł pole pracy, na którym mógł w całej pełni rozwinąć nie tylko swoje kapłańskie powołanie, ale także swoje cudowne wprost zdolności lekarskie i swój geniusz organizacyjny.

Kiedy przyjechał do Shuntehfu, zastał tu mały szpitalik z 19 łózkami, dotąd wystarczający na warunki miejscowe. Kiedy jednak polski misjonarz-lekarz począł w tym szpitaliku przyjmować chorych i dokazywał wprost cudów w leczeniu chorób oczu, napływ pacjentów wzrósł tak, że należało szpital powiększyć i ulepszyć. Dziś szpital może już pomieścić ponad stu chorych. Rocznie przechodzi przezeń przeszło 1000 chorych, ilość dokonanych operacji 800, z czego ciężkich (katarakty i inne) 227.

Mimo nadludzkiej pracy ks. dr. Szuniewicz nie zadowolił się organizacją i rezultatami tego na całe Chiny dziś słynnego szpitala. Głos Chrystusowy: „Misereor super turbam“ — „żał mi ludu“ — nie dał mu spokoju. Wiedział on dobrze, że nie wszyscy chorzy mogą przybyć do Shuntehfu, że ograniczone ludzkie siły nie pozwa-

lają jemu samemu bezpośrednio wszystkim udzielić pomocy. Stworzył więc obok centralnego szpitala w Shunتهفu całą sieć ambulatoriów i przychodni na całym terytorium Prefektury, które powoli przeistaczają się w małe szpitale. Równocześnie założył szkołę pielęgniarską w celu wyrobienia w niej (w dwuletnim kursie), szeregu pielęgniarzy i pielęgniarek, którzyby, pozostając pod jego kontrolą, mogli objąć te w całej Prefekturze rozrzucone ambulatoria i przychodnie. Świetnie to mu się udało. Ruch w tych ambulatoriach wykazuje w przeciągu jednego, ostatniego, roku wprost nieprawdopodobną liczbę, bo niemniej jak 145.000 chorych.

Sława polskiego misjonarza-lekarza dziś rozeszła się po całych Chinach. Szpital w Shunتهفu stał się celem pielgrzymek chorych z najodleglejszych miejscowości. A nie tylko chorzy pielgrzymują do tego polskiego apostoła-lekarza; pielgrzymują do niego także chińscy lekarze-okuliści, by pod jego kierunkiem dokształcić się w zdobytej już gdzie indziej sztuce i wiedzy lekarskiej.

Biskupi z całych Chin również zwracają się do niego z prośbą, by przyjął do swej szkoły pielęgniarskiej także Siostry z ich okręgów misyjnych dla wyrobienia ich w prowadzeniu podobnych jak w Shunتهفu ambulatoriów, które by pozostawały pod jego kontrolą. W tym samym celu zwrócił się do niego nawet dyrektor Centralnego Szpitala w Pekinie. Przychylając się do jego prośby ks. dr. Szuniewicz zorganizował w kilkumiesięcznej intensywnej pracy wzorową przychodnię przy tym szpitalu; równocześnie przysposabiając do pracy w niej lekarzy chińskich. Całe Chiny ubiegają się wprost o tego opatrnościowego człowieka. Najwyższe powagi naukowe z entuzjazmem wyrażają się o jego działalności po zwiedzeniu instytucji, którą stworzył. „Sława polskiego uczonego“ — tak pisze o nim rektor Uniwersytetu „Aurora“ w Szanghaju w swym sprawozdaniu z pobytu w Shunتهفu — „rozeszła się na kilka prowincyj Północnych Chin i chorzy zjeżdżają się do niego z miejscowości oddalonych o setki kilometrów. Operacje robione przez ks. dr. Szuniewicza uważane są za fenomenalne przez wszystkich specjalistów... To, co robi Ks. dr. Szuniewicz, to w normalnych warunkach robi 10 lekarzy“.

PATRIOTYCZNE STANOWISKO KS. DR. SZUNIEWICZA

Na podstawie tego raportu fakultet medycyny Uniwersytetu „Aurora“ postanowił w przyszłości swych dyplomatycznych lekarzy, pragnących specjalizować się w okulistyce, już nie wysyłać, jak dotąd, do klinik paryskich, ale skierować ich do kliniki ks. dr. Szuniewicza, do Shunتهفu. Rektor tegoż Uniwersytetu ofiarował

mu także tytuł honorowego profesora i oświadczył, że gotów jest uznać jego szpital w Shuntehfu za klinikę oczną Uniwersytetu. Zaszczytą to propozycja i nader korzystna, bo uznając klinikę ks. dr. Szuniewicza za klinikę uniwersytecką, a jego samego za profesora Uniwersytetu, Uniwersytet przyszedłby z tak bardzo potrzebną pomocą finansową szpitalowi i pomógłby ks. dr. Szuniewiczowi do urzeczywistnienia dalszych jego zamiarów. Nie zgodzili się jednak na to ani ks. dr. Szuniewicz, ani jego przełożeni, bo gdyby to uczynili, szpital ks. dr. Szuniewicza straciłby swój charakter polski i stałby się filią francuskiego Uniwersytetu, kierują nim bowiem Jezuici francuscy. W konsekwencji działalność i zasługi polskiego misjonarza-lekarza poszłyby na konto francuskiej pracy misyjnej w Chinach.

ZNACZENIE POLSKIEJ MISJI W CHINACH DLA POLSKI

Za zajęcie takiego stanowiska, dyktowanego polskim patriotyzmem, powinniśmy w kraju być wdzięczni ks. dr. Szuniewiczowi i Zgromadzeniu Księża Misjonarzy św. Wincentego a Paulo. Bo choć sprawa misyjna jest wspólną całego Kościoła sprawą, mamy jednak jako Polacy wielki w tym interes, by podobnie jak inne narody, zaznaczyć w niej nasz specjalny udział i nasz własny dorobek; mamy szczególny interes w tym, by zwłaszcza na Dalekim Wschodzie, by w Chinach wykazać nasze zdolności polskie, stworzyć tu silne placówki własne, świadczące o naszym polskim duchu i naszej polskiej sile. Ks. dr. Szuniewicz i Księża Misjonarze, do których należy, przez swoją gorliwą pracę kapłańską i charytatywną w krótkim czasie dla propagandy polskiego imienia na Dalekim Wschodzie więcej uczynili, niż mogliby uczynić dyplomaci lub korespondenci i pisarze, którzy by w tym celu byli wysłani na Daleki Wschód.

Polski szpital w Shuntehfu dziś już cieszy się nieomal taką sławą w Chinach, jak słynne obserwatorium francuskich Księża Jezuitów w Zikawei, a polski misjonarz-lekarz takim uznaniem, jak słynni uczeni Jezuici francuscy przy tym obserwatorium, albo też jak wielki apostoł chiński Loh Pahung. Daj Boże, żeby ten wielki polski misjonarz-lekarz jak najdłużej mógł żyć i pracować dla chwały Bożej, dla dobra wielkiego narodu chińskiego, a także dla sławy polskiego imienia!

KONIECZNA POMOC KRAJU

Powinniśmy atoli z kraju przyjść mu i Księżom Misjonarzom z pomocą w ich naprawdę apostołskiej pracy. Misja w Shuntehfu

pracuje w nader trudnych warunkach. Dzieło ks. dr. Szuniewicza utrzymuje i rozwija się tylko dzięki jego nadludzkiej gorliwości i pracy i nadzwyczajnej zdolności organizacyjnej, umiejącej najskromniejszymi środkami osiągnąć zdumiewające rezultaty. Środki Misji przed wszystkim nie starczą na zaopatrzenie szpitala ks. dr. Szuniewicza w odpowiednie narzędzia chirurgiczne. O tym powinniśmy w kraju pomyśleć. Tak pamiętają francuscy katolicy o swoich szpitalach misyjnych, jak w ogóle o zakładach naukowych i misjach. Nie dawno, jak się dowiedziałem, szpital przy Uniwersytecie „Aurora“ w Szanghaju prowadzony, jak już wspomniałem, przez francuskich Księża Jezuitów otrzymał piękny zbiór instrumentów chirurgicznych od francuskich fabrykantów przyrządów szpitalnych. Czyżby tacy fabrykanci nie znaleźli się także w Polsce?

A możeby między młodymi lekarzami i lekarkami polskimi znaleźli się tacy, którzy odczuwają w sobie podobnie jak ks. dr. Szuniewicz głos Boży, przyłączyliby się do niego, by pomóc mu utrzymać i rozwijać dalej jego wielkie dzieło... Byłoby to naprawdę wielkie powołanie, droga do wielkiej „kariery“ w służbie Bożej.

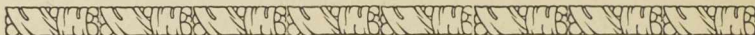
Pamiętajmy też o tym, że przyszłość i wielkość Polski nie zależy tylko od naszego czynu w kraju, ale w wielkiej mierze także od naszego czynu na szerokim świecie, od naszego udziału w ogólnoludzkich sprawach. A taką sprawą jest wielka sprawa misyjna, sprawa rozszerzenia Królestwa Chrystusowego na całym świecie.

Podróż moja na Daleki Wschód, zaznajomienie się choć — muszę przyznać — bardzo pobieżnie z prądami duchowymi, wierzeniami i stosunkami panującymi tam między setkami milionów ludzi najróżniejszych ras, utwierdziły mię w przekonaniu, że jedynie nasza św. religia katolicka może naprawdę wyzwolić Wschód. Bo ona jedynie jest religią naprawdę „humanitarną“, naprawdę „ludzką“, czyli religią, która umożliwia człowiekowi życie naprawdę godne człowieka, odpowiadająca jego najgłębszym potrzebom, jego doczesnemu i wiecznemu powołaniu. Dlatego sprawa misji katolickich jest tak ważną, powołanie misjonarza tak wzniosłe, ofiary na misje tak płodne w skutki doczesne, a przede wszystkim wieczne. Kolonizacja czysto technicznymi środkami, jak ją dziś różne narody prowadzą na Dalekim Wschodzie i w innych częściach świata, tworzy tylko, trzeba przyznać, niekiedy wspaniałe fasady, jakie widzieliśmy w Bombaju, Singaporze, Szanghaju, Hongkongu, Sajgonie, ale nie wyzwala naprawdę ludzi, nie przynosi im pełnego życia, a zbyt często, niestety, ich poniża, zwyrodnia, pozbawia naturalnych cnót, dodatnich właściwości i zalet. Wskutek tego jest niebezpieczeństwo, że te dziś kolonialne rasy i narody,

skoro pozbędą się obcych nad sobą rządów, co zdaje się, stanie się w nie tak dalekiej przyszłości, stworzą u siebie tylko lichą imitację zmaterializowanej Europy lub Ameryki. Naprawdę wyzwolić, naprawdę podnieść może te narody i rasy tylko religia Chrystusowa, która nie niszczy tego, co z natury w nich jest dobre, ale uszlachetnia, i nie narzuca im tego, co by było obce ich duszy. Bo w religii katolickiej, głoszonej tak jak ją głosił nasz Boski Mistrz, nie ma też nic, co by mogło być obcym jakiegokolwiek duszy niezdprawowanej, do jakiegokolwiek bądź rasy, czy narodu należy. Jest ona naprawdę powszechną, wszechświatową, ogólnoludzką, jak słońce, które nigdzie nie jest obce, choć świeci w różnych częściach świata.

Misjonarze są i powinni być promieniami słońca Chrystusowego. Takim promieniem w Chinach jest niewątpliwie polski lekarz-misjonarz ks. dr. Wacław Szuniewicz. Cieszymy się, że ten promień wyszedł ze słońca Chrystusowego, jaśniejącego nad polską ziemią i w polskiej atmosferze.

*Ks. Dr Teodor Kubina
Biskup Częstochowski*



Wieści z Wenchow

Wycieczka misyjna do Ko-den

Miejscowość Koden (zakręt rzeki) położona bardzo blisko, bo tylko z drugiej strony rzeki. Z Wenchow widać ją doskonale. Ale niestety dzieli nas parę kilometrów szeroka rzeka, której przeprawa może zająć i 20 minut a może i więcej niż godzinę, albo też staje się wprost niemożliwą, zależnie od przyływu rzeki.

Wybrałem się tam niedawno temu. Skoro tylko przybiliśmy do brzegu — już wszyscy wiedzieli, że przybył ksiądz, że wieczorem będzie kazanie. Nasza gmina chrześcijańska tutaj jest bardzo słaba, w niemowlęctwie. Niedawno temu otworzyliśmy kapliczkę. Zaraz po przybyciu rozwiesiliśmy obrazy katechizmowe. Całe popołudnie katechista tłumaczył ich znaczenie licznie zmieniającym się gościom. Wieczorem poszliśmy do jednego z chrześcijan na kolację. Znowu tłum ludzi. Posiliłem się i przyłączyłem do gromady ciekawych — tłumacząc im co to jest religia katolicka. Dużo się rozeszło. Została jednak spora garstka młodzieży 16, 17 letniej. Pytam kto stworzył niebo, ziemię, ludzi, czy wolno czcić bożki itd. Moi młodzi przyjaciele świetnie zdali egzamin. Wszystko w lot pojowali i obiecali do nas powrócić.

Wieczorem nasza kapliczka zabita ludźmi. Naokoło pełno ciekawych. Mówilem długo. Potem katechista. Trzeba było kazać pójść wszystkim spać, bo słuchaliby do północy. Rano stawili się dość licznie na Mszę św. i kazanie. Wielu obiecało do nas się przyłączyć. Dotychczas przyszła jedna rodzina protestancka. Druga się jeszcze chwije, skłania do nas. W jednej pogańskiej rodzinie 17 letni chłopiec pali się do nas. Ojciec bardzo skłonny, ale żona zaczęła poganka hamuje wszystko. Bóg jednak robi swoje.

Późno wieczorem przed spoczynkiem wyszedłem jeszcze przed dom. Przeszedłem się między chatami. Z każdego — dosłownie — z każdego mieszkania dochodziły mnie głosy: „ten ojciec duchowny mówił, że tylko religia katolicka jest prawdziwa..., że jest jeden Bóg, że nasze bożki czcić daremno, że religia protestancka nie jest prawdziwa, że, że...” W duszy cieszyłem się bardzo. Religia katolicka jest na ustach wszystkich. To jedyny temat rozmów. Interesują się. Czują potrzebę prawdziwej religii. Mój przyjazd to istotny kij w mrowisku.

Już byłem na odchodnym, kiedy dowiedziałem się przypadkowo, że w sąsiedniej wiosce jest umierająca staruszka, licząca już przeszło 80 lat. Przed dwudziestu laty katechista w czasie choroby ją ochrzcił i na tym koniec. Zawsze jednak uważała się za katoliczkę — wierzyła we wszystko, lecz innych praktyk nie wykonywała. Hm! co tu robić? W dodatku staruszka nie dosłyszeli! Posłałem naprzód katechistę, by ją cośkolwiek przygotował.

Uzupełniłem ceremonię chrztu św. Nastąpiła spowiedź i Ostannie Namaszczenie... Przed spowiedzią zapowiadam katechiście, by ludzi trzymał z daleka, bo będę mówił dość głośno. Masz! A tu w czasie spowiedzi słyszę głos starego wieśniaka, który przez ścianę pomaga mi pouczać chorą. Krzyczę na niego „wynoś mi się stąd“! Ale cóż można zrobić! Zresztą Chińczycy nie rozumieją tajemnicy, sekretu. Wszystko muszą wiedzieć, wszystko muszą słyszeć. Nawet małe dzieci dopuszczane są do wszystkich tajemnic.

Gdyby tak można częściej tu do Ko-den zaglądać i katechizować i uczyć byłaby tu ładna parafijka. Trzeba by wybudować większą kapliczkę, trzeba by umieścić stałego katechistę... ale to wszystko na razie marzenia. Są inne miejscowości — gdzie wiernych więcej a kapliczki nie mają. Jedno trzeba zrobić. Dzielić wielkie terytoria na małe parafie i umieszczać księży. Mając mniejsze okręgi łatwiej je uprawiać, obsieją słowem Bożym i będą plony. Potrzeba nam więcej księży i więcej środków na budowę mieszkań dla nich i na ich utrzymanie.

Pan żniwa jednak na pewno pamięta o nas i da wszystko w swoim czasie.

Ks. Paweł Kurtyka C. M.



Z życia i działalności Stow. Dzieci Marii

Sprawozdanie z działalności Stowarzyszenia Dzieci Marii Parafii św. Elżbiety we Lwowie

Dzień 1 października 1933 roku był dla nas bardzo miły i pragniemy wyrazić naszą wdzięczność jaką serca nasze są przejęte dla Niepokalanej naszej Matuchny oraz naszego Najczcigodniejszego Ks. Dyrektora Ks. Kanonika Władysława Matusa, który w tenże dzień zebrał nas w sali parafialnej celem założenia Stowarzyszenia Dzieci Marii. Po wy tłumaczeniu nam jaki początek wzięło to Stowarzyszenie i czym może ono być dla naszej parafii, zachęcane tymi słowami gromadziłyśmy się co niedzielę w sali, aby się przygotować do przyjęcia i bliższego zapoznania się z zasadami Stowarzyszenia. Dnia 8 grudnia zostaliśmy przyjęte jako aspirantki, radość nasza była nie do opisania, wzruszone do głębi przemówieniem Najczcigodniejszego Ks. Dyrektora, postanowiliśmy sobie gorliwie pracować nad nabyciem cnót Dziecka Marii, aby stać się godnymi niebieskiego medalu. Zebrania odbywały się co niedzielę przeplatane przepięknymi naukami naszego Ks. Dyrektora, aż przyszła upragniona chwila, kiedy nasz Najczc. Ks. Dyrektor oznajmił nam, że niedługo zostaniemy przyjęte w poczet uprzywilejowanych dzieci Najsw. Marii Panny. Przed uroczystością rozpoczęto 3-dniowe rekolekcje, spowiedź i komunie św. 21 października 1934 r. w kościele parafialnym u stóp ołtarza Niepokalanej Marii po odśpiewaniu hymnu „Witaj Gwiazdo“ otrzymaliśmy z rąk naszego Najczc. Ks. Dyrektora w liczbie 34 medal niebieski, oraz 5 kandydatek medal zielony po przyjęciu i przepięknym przemówieniu, jakim ma być życie Dziecka Marii i w jaki sposób mamy naśladować naszą Niebieską Matuchnę, odśpiewaliśmy „Uwielbiam Dusz“ i „Pod sztandarem Twym stajemy“, udaliśmy się do sali, gdzie wesoło wśród śpiewu i deklamacji, zakończyłyśmy ten tak wielki i pamiętny dla nas dzień. Niedługo potem Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka jadąc do Paryża, nie zapomniała o nowej gromadce i wracając, przywiozła nam dyplom zatwierdzony w Paryżu, 11 grudnia 1934 r. Od tego czasu życie w Stowarzyszeniu płynie mile, zebrania odbywają się 3 razy na miesiąc, a raz zebranie Rady. Poza tym Stowarzyszenie urozmaica życie w parafii przez branie udziału w uroczystościach parafialnych, odgrywania sztukek na tle religijnym i naukowym, dochód ofiarowałyśmy na ołtarz i biednych. Największym powodzeniem cieszyłyśmy się, grając sztukę p. t. „Bernadeta“, którą powtarzałyśmy 2 razy, poza tym grałyśmy sztukę p. t. „Jak można murzyna obmyć do białości“ i „Skarbonka“. Dochód ofiarowałyśmy na cele misyjne.

Dziecko Marii.

Bardzo gorąco prosimy wszystkie Dzieci Marii, aby widząc nasze wyjątkowo ciężkie położenie, wszystkie bez wyjątku natchnęły się gorliwością o sprawy tak ważne, i przyszły nam z pomocą. Pomocy potrzebujemy koniecznie! Nie mamy grosza, a przecież kosztu są wielkie. Papier kosztuje, druk też sporo wynosi, a wysyłki poczta bezpłatnie się nie podejmie. — A przecież to nasze pismo jako organ poświęcony Marii Niepokalanej ma swoją wartość. Organ byłby dla nas wartościowszy, gdybyśmy każdy numer skrzętnie przeczytali, przestudiowali, czasem coś do „Rocznika“ napi-

sali, lecz niestety brak nam, jeżeli nie sił, ochoty i tą gnuśnością zarażamy innych! To nie forma apostołstwa!

A jak z prenumeratą! Przecież i w dzisiejszych czasach drobnymi grozami można wielkich rzeczy dokonać! Tego i my pragniemy pracą nie rozgłośną i huczną, ale cichą, pojętą w duchu naszej świętej wiary.

A więc prosimy o łaskawe nadesłanie prenumeraty, koniecznej dla ostanía się naszego pisma. Prosimy o pomoc i życzliwość. Na każdy objaw życzliwości odpowiemy życzliwie. Jak? O tym przekona się każdy jeszcze w miesiącu czerwcu.

Nadto wzywamy wszystkich, aby nam listownie podać zechcieli, jak pragną widzieć „Rocznik Mariański”? To nasza ankietą! Odpowiedzi na nią prosimy nadsyłać czym prędzej.

Ks. Redaktor

Święcone w Stowarzyszeniu Dzieci Marii Zakładu im. Helclów w Krakowie

Rok rocznie urządzamy w naszym Stowarzyszeniu święcone jajko, a ponieważ w tym roku obchodziliśmy bardzo miło i wesoło, toteż pragniemy podzielić się w naszym roczniku z innymi Stowarzyszonymi, które zapewne chętnie czytają Rocznik Mariański interesując się żywo każdym Stowarzyszeniem, gdyż jesteśmy jakoby jedną wielką rodziną, której Matką i Opiekunką jest Najśw. Panna Matka samego P. Jezusa.

W drugie święto Wielkiejnocy wieczorem o godz. 18,30 będąc wolne od wszelkich zajęć, zebraliśmy się wszystkie w sali zebrali gdzie, za staraniem Czcig. Siostry Przełożonej i Siostry Podydyrektorki zastałyśmy ładnie zastawione stoły święconem, nie brakło też i wina dla lepszego humoru i najważniejsze święconego jajka. Pieśnią „Wesoły nam dziś dzień nastał”, powitałyśmy Najczcig. Księdza Dyrektora Jędrzychowskiego. Ks. Dr. prof. Stawinogę i Ks. prof. Tarnawskiego, Czcig. Siostrę Przełożoną i wszystkie Siostry. Na wstępie prezydentka w kilku słowach złożyła Księdzu Dyktorowi i dostojnym gościom w imieniu Dzieci Marii najserdeczniejsze życzenia, po czym jedna z kandydatek do Stowarzyszenia ładnie oddeklamowała wiersz Fr. Lewandowskiego o Zmartwychwstaniu Pańskim. Następnie pięknie przemówił Ksiądz o zwyczaju dzielenia się jajkiem przy którym wszyscy składają sobie życzenia w te mniejwięcej słowa:

 Za życzenia dziękujemy
 i też nowe przedkładamy.

Radosne Alleluja niby łagodny a życiodajny powiew wiosny podnosi i krzepi serca ludzkie (względnie nasze), bo Chrystus zmartwychwstał. Radośnie były dzwony rezurekcyjne, zwiastuny chwały i triumfu Chrystusa. Radością przepojona jest liturgia Kościoła, która trafia do serca i budzi w nim nie tylko radość, wesele i optymizm, ale równocześnie i głębokie uczucie wdzięczności. Weselcie się i powtóre mówię weselcie się za Apostołem, ale w Panu. Niech tedy radość nasza z ziemskiej ojczyzny łączy się z radością naszej wiary w triumf Chrystusa Zmartwychwstałego. Ten triumf życia nad śmiercią, którego pamiątkę dziś obchodzimy wycisnął też swe radosne piętno n azwyczajach świątecznych. Niewątpliwie zaznaczył się on najbardziej w rozpowszechnionym zwyczaju święcenia potraw, który wywodzi się z pierwszych czasów chrześcian.

Treść tego zwyczaju, we wzruszających słowach oddaje nasz pieśniarz Wł. Syrokomla:

 Ksiądz przychodzi w komży, stule kędy pascha już nakryta
 Gospodarzy wita czule i nad stołem modły czyta:

 Boże, któryś na pustyni błogosławił pięciu chlebom,

 Niech Twa łaska nam przyczyni chleba życia ku potrzebom.

Tak oto poeta złączył w jednym pięknym zdaniu pojęcie chleba żywota ku zbawieniu dusz z obfitością darów Bożych, ku pokrzepieniu ciał.

Pobłogosławione przez kapłana dary boże spożywa się według polskiego zwyczaju w pierwszym dniu świąt w kole ściśle rodzinnym. Dopiero drugiego dnia świąt zaczynają się ludzie wzajem odwiedzać. Nie obejdzie się w tym dniu bez przyjaznej psoty w formie oblewania wodą. Według Kitowicza datuje się to jeszcze z czasów jerozolimskich, kiedy oblewaniem wodą, straż rzymska rozpędzała gromadzące się tłumy żydowskie.

To oblewanie wodą zwieśmy u nas dyngus lub śmigus.

Do najbardziej rdzennie polskich obyczajów należą pisanki, t. j. pięknie barwione lub zdobione jajka. Według podań, krążących np. na Podlasiu kamienie, którymi ukamienowano św. Szczepana, zamieniły się w pisanki. Wrodzony artyzm ludowy święci w przyozdabianiu tych pisanek prawdziwy triumf. Oto krótka historia zwyczaj i pisanek. Zebrałiśmy się tutaj, jako jedna rodzina duchowa w tym celu, by sobie złożyć życzenia. Piękny to i miły zwyczaj i należy go podtrzymywać.

Ale w dzisiejszych czasach ile to jest osób, którym nikt nie życzy a przecież jest zwyczaj inny prawdziwie polski, że nikt nie może być w tym dniu bez dachu i chleba. A jednak, przykład, który opowiem napewno nas wzruszy i za serce ujmie: Pewną dziewczynkę odumarli rodzice. Krewni ulitowali się nad nią i zabrali do siebie. Dawali jedzenie, dawali okrycie, ale serca nie dali; czuła ona to dobrze i coraz więcej rozumiała. Nadeszły święta Wielkanocne, zjeżdżają się krewni, znajomi i goście, a państwo domu dzieliła się święconym jak zwyczaj każe — i składają życzenia wszystkim, krewnym znajomym i swym dzieciom, — tylko o biednej sierocie nikt nie wspomni, nikt jej do serca nie przycisnie, nikt życzeń nie złoży. Cóż czyni sierotka? Gdzie szuka pociechy? Oto wzięwszy święcone, które jej dano, idzie przed obraz Matki Bożej ze Zbawicielem, który miała nad swym łóżeczkiem, a rozplakawszy się rzewnie powiada Matuchno Boża i Ty Zbawicielu patrzcie jak sobie wszyscy winszują, tylko mnie nikt nie winszuje. Zbawicielu Tyś szczęśliwy, bo masz Matkę, a ja nie mam ani matki ani ojca. — Otóż ja Tobie i Twej Matce winszuję, a Ty pobłogosław mnie. Ta dziecięca modlitwa pocieszyła ją i uspokoiła i dodała takiej siły i mocy i hartu, że pomimo trudnych warunków, umiała żyć cnotliwie i święcie. My jesteśmy w innym położeniu, bo rodzinę ziemską chwilowo zastępują nam przełożeni, którzy troszczą się o nas, by nam dobrze i miło było, toteż przy tym święconym składam serdeczną wdzięczność Siostrze Przełożonej, jako matce tego Zakładu, — a Wam Drogie Dzieci Marii życzę radości, pokoju i wytrwałości w dobrym a Chrystus Zmartwychwstały pobłogosławi wasze chęci, wasze zamiary, wasze trudy, wasze cierpienia i wasze czyny, jeżeli one będą płynęły z serc czystych, przez serca bliźnich do serca Boga. Tego wam życzę z serca do serca. Potem zwrócił się Ksiądz Dyrektor do Najczcig. Ks. Dr. prof. Stawinogi dziękując za rekolacje, które dawał w Wielkim Tygodniu. Nauki były bardzo praktyczne, urozmaicone przykładami, z których Dzieci Marii wiele skorzystały. Nieomieszkał podziękować i Czcigod. Siostrze Przełożonej za troskliwe staranie się o nasze Stowarzyszenie. Po czym prawdziwie po rodzinnemu Ks. Dyrektor jako głowa Stowarzyszenia rozpoczął kolejno z Dziećmi Marii dzielić się święconym jajkiem, za którego przykładem poszli i obaj księża profesorzy nie szczędząc nam życziwych słów. Zhudowało nas i rozrzewniło, że tak dostojni goście nie gardzą nami. Nasza ukochana i przeznacna Siostra Przełożona i Siostra Poddyrektorka życzyły nam również i wszystkie wazjemnie życzyłyśmy sobie ze serca wszystkiego najlepszego. Nastrój był nadzwyczaj miły, ożywiony, pełen wesołego gwaru, który podniecał słówkami pełnymi humoru Najczcig. Ks. Dyrektor i Ccig. Siostra Melania, w końcu nakreślono radio do tańca i gdy już się wszystkie rozruszały na wesoło, dostojni goście opuścili salę, życząc nam przyjemnej zabawy, która trwała do godziny 21.

Życzymy aby we wszystkich Stowarzyszeniach były takie miłe chwile, które więcej nas zbliżają do siebie, stajemy się więcej serdeczne, życliwe na wzór prawdziwie Bożej rodziny. „Cześć Marii“.

Apostołom Cudownego Medalika ku rozwadze!

Wszyscy, którzy poświęcają się dziełom apostołstwa, będą wywierali o tyle szczęśliwy wpływ, o ile ich pobożność będzie delikatniejsza, stałsza, gorętsza, a gorliwość większa i ochota w urzeczywistnieniu w sobie doskonałości chrześcijańskiego życia, w czym jednym z najskuteczniejszych środków jest nabożeństwo do Niepokalanej Dziewicy. Jest ono bardzo uszlachetniające. Wraz z modlitwą uczy naśladować ten piękny i niedościgły wzór oraz podaje różne sposoby apostołstwa w Kościele, ojczyźnie i rodzinie.

A Dzieci Marii i Apostołowie Cudownego Medalika jakże w bardzo wydajnej mierze mogą się przyczynić i do uświęcenia dusz swoich i bliźnich oraz do urobienia zasad chrześcijańskich w świecie. I w dzisiejszych czasach, kiedy świat idzie drogami nieznanej ewolucji, instytucje formacji mariańskich bynajmniej nie są przeżytkami, ale przeciwnie są bardzo pożyteczne na czasy nasze.

Zdarza się często, że wielu chrześcijan nawet dobrych, odbiera czasem tym zrzeczeniom rację bytu, ośmieszają się albo znowu zawraca umysły od uświęconych i prawnie ułożonych form apostołstwa.

Bardzo pięknie przemówił Ojciec Św. Pius XI, papież akcji katolickiej do przedstawicieli kilku tysięcy Stowarzyszeń Dzieci Marii: „Najdroższe dzieci! — tak liczne i dobrze przygotowane, lubię myśleć o tym, że właśnie wśród was dostrzegam plony dzieł świętych, że wśród was znajduję i wsparcie i pomoc. Pozostańcie na stanowiskach waszych, jakie zajmujecie! Zachowajcie metody, które zawsze powinny wam być drogą! Wierne bądźcie tradycjom, które były, są i zawsze będą najpewniejszą gwarancją urobienia sumiennej i gorliwej formacji katolickiej! — Zatem garnijcie się dalej do przeczestnego Serca Waszej niebieskiej Matki!..

Więc i nadal pracować będziemy pod sztandarem Cudownego Medalika na usługach naszej Niepokalanej Matki i strzec tego świętego depozytu Królowej nieba i ziemi i każdej duszy! Bo to nasze święte apostołstwo!

Misjonarz.

PODZIĘKOWANIA

Prośba do Matki Boskiej. O Matko Najświętsza błagamy Cię dopomóż nam, wstaw się za nami ażeby nam się los odmienił i żeby nam było już lepiej, nie dozwól abyśmy się tak dłużej męczyli.

O Matko Przenajświętsza zlituj się za nami. — Ty widzisz wszystko — więc błagamy Cię dopomóż nam. O, Matko Pocieszenia zmiłuj się nad nami, spraw o Matko Najświętsza, by nam się chociaż trochę lepiej powodziło.

Twoje oddane całym sercem „Dzieci“.

Wywiązując się z danej obietnicy, składam publiczne podziękowanie, Najświętszemu Sercu Jezusa, Matce Najświętszej Nieustającej Pomocy, św. Józefowi za wysłuchanie mej prośby, także za zdrowie.

Dzięki składam ci o Serce Jezusowe i Tobie Mario Nieustającej Pomocy, Tobie św. Józefie, za łaski, które od was odbieram. Proszę was także pobłogosławcie mnie na dalszą drogę życia. Jako ofiarę składam 4 zł.

A. T.

Prenumerata „Cudowny Medalik“ 2.50 zł, zaś 2.50 zł ofiara Marii Niepokalanej z prośbą o dalszą opiekę. **Andrzej i Zofia Plucińscy.**

Matuchnie Niepokalanej dziękuję za łaskę wyzdrowienia, z ciężkiej choroby i nadal polecam się Jej opiece **Niewdzięczna sluga „Marii“.**

Kraków, dnia 21 kwietnia 1937 r.

Składam ofiarę 2 złote.

Wywiązując się z danej obietnicy, składam najserdeczniejsze podziękowanie Matce Najświętszej od Cudownego Medalika za otrzymane łaski za pośrednictwem Wieleb. Anieli Salawe z prośbą o dalszą opiekę. Skromną ofiarę załączam 2 złote.

Dziecko Marii **L. R.**

Ofiarę przesyłam przekazem.

Siemianowice je 11 marca 1937 r.

Dnia 11 marca 1937 r. wysłałam na konto P. K. O. opłatę abon. 2.50 zł. + 2.50 zł za ogłoszenie następującą treść w Cudow. Medaliku: wywiązując się z obietnicy dziękuję Matce Najśw. za udzieloną łaskę i proszę o dalszą. z pozdrowieniem

K. Borgielowa.

Podziękowanie. Przez 3 lata chorowałam różnie dosyć poważnie, w końcu musiałam się poddać jeszcze operacji ślepej kiszki i nieomal zwątpiałam o uzyskaniu zdrowia. W tej trosce polecałam się szczególnie opiece Patronki sodalicyjnej Najświętszej Marii Panny odprowadzając jedną nowennę po drugiej. Dziś po uzyskaniu zdrowia poczuwam się do miłego obowiązku złożenia Najświętszej Panience publicznie najserdeczniejszego podziękowania prosząc Ją nadal pokornie o życzliwą opiekę, gdy po uzyskaniu zdrowia wychodzę za mąż. Prowadź mnie Matko Najświętsza jak dotąd — a wszystkie Dzieci Marii zachęcam do jaknajgorliwszej czci naszej Patronki. Na cześć Marii składam na cele Rocznika Mariańskiego choć skromną ofiarę 3 złotych. Cześć Marii!

Marta Gliszczyńska, Dziecko Marii Stowarzyszenia w Dziemianach.

Turzonka — Pomorze, dnia 24 kwietnia 1937 r.

Potwierdza ks. Podlaszewski, dziekan, moderator Dzieci Marii.

Wywiązując się z obietnicy danej Matce Najświętszej Cudownego Medalika, składam publiczne podziękowanie za otrzymaną łaskę z prośbą o dalszą opiekę. Jako ofiarę składam 2.50 zł.

Helena Długoszówna.

Lwów.

Ofiara na misje, jako podziękowanie za wystuchanie prośby, — z prośbą o dalszą opiekę Niepokalanej Marii.

H. Ch.

Podziękowanie. Przybyłam do szpitala św. Łazarza na oddz. urologiczny w Krakowie, dnia 5 października 1936 r. aby poddać się operacji usunięcia ropnej nerki. Przed operacją siostra Szarytka Waleria wręczyła mi Cudowny Medalik zalecając mi, abym się oddała Najśw. Matce w opiekę. Przy tym prosząc Błg. Katarzynę Laboure o jej wstawiennictwo.

W dniu 12 października 1936 r. odbyła się moja operacja, której poddałam się z ufnością, że Ta która nikogo nie opuszcza i nikim nie gardzi, także i mnie nie opuści. W tym czasie zostały odprawione Mszy św. do Matki Bożej i św. Tereni od Dzieciątka Jezus.

Stan mój po operacji był groźny, serce z każdym dniem słabło i nie było wielkiej nadziei; w dniu kiedy odbyła się operacja zostałam zaopatrzona Olejami św. W tym czasie mąż mój przystępował do Komunii św. prosząc Niepok. Poczetą i Serce Jezusa o ratunek. I oto nie zawiodłam się, bo pomimo ciężkiego stanu i wzmagającej się słabości serca odzyskałam siły i opuściłam szpital dnia 9 grudnia 1936 r.

Wywiązując się z danego przyrzeczenia składamy wraz z mężem pełni świadomości publiczne podziękowanie M. B. N. P. Sercu Jezusa, Błg. Katarzynie Laboure, św. Tereni od Dziec. Jezus i św. Antoniemu z Padwy za szczęśliwy przebieg operacji i powrót do zdrowia.

Za odebrane łaski dziękujemy gorąco i prosimy o dalszą opiekę nad nami wołając: Mario — przyjm nas w opiekę swoją — o Matko Boska bądź Matką naszą.

Jan i Matylda Hajołowic.

Mościce, dnia 16 kwietnia 1937 r.

Stwierdzam zgodność z prawdą ks. W. Gnutek, rektor kościoła w Mościcach.